

ITD

Tygodnik Studencki

Warszawa, ul. Ordynacka Nr 9

wydanie

6

6-02-77

Nr z du



NAJTRUDNIEJSZY EGZAMIN

MAREK RYMUSZKO

W stołecznym Teatrze Ochoty grany jest od paru tygodni „Egzamin” Jana Pawła Gawlika. Sztuka już stara, bo licząca bodaj dwanaście lat, a przecież wywołująca po spektaklach zażartą dyskusję, ba, wyzwalająca niebawem emocje. Od razu wiadomo o co chodzi: te jędrne dialogi, te figury, jakie wykonują aktorzy według przypisanych im ról, to już nie jest właściwie teatr, to po prostu kawał życia. Punkt odbicia wyjątkowo delikatny — szkoła. Punkt odniesienia wyjątkowo drażliwy — etyka nauczycielska. Tło wyjątkowo ostro zarysowane: mechanizmy społeczno-polityczne, rządzące lokalnym środowiskiem, a w tym przypadku poruszane przez paru oportunistów i kumotrów. Wszystko to skłania, by przy okazji pogadać o sprawach ogólniejszych, dotyczących nie tylko szkoły z jej słabościami i starannie skrywanymi grzechami.

Siedzą sobie oto panowie i panie z kajetami w garści i udają radę pedagogiczną, która decyduje o dopuszczeniu uczniów do matury. Temu pięć, tamtemu trzy, tego podciągnąć, tamtego usadzić. Ty dasz Stasiowi z trzeciej „a” pięć z wf-u, żeby mu nie psuć świadectwa, ja dam Misi z pierwszej „b” trzy plus z rysunków, żeby jej nie psuć dobrego samopoczucia. Tego ostatniego akurat w sztuce nie ma, ale dobrze wiemy na ilu radach pedagogicznych tak właśnie wygląda ostateczne ustalanie stopni.

I oto odbywa się klasyfikacja dziewczynki, dziecka nad wyraz leniwego, a ponadto otepiatego intelektualnie, które jednak okazuje się mieć szczęście w tym sensie, że jest córką miejscowego sekretarza partii. Wszyscy wystawiają stopnie pozytywne lub państwowe wśród znaczących westchnień i pochrząkiwań. Wszyscy — z wyjątkiem młodej nauczycielki od polskiego, która stawia córki łufę. Konsternacja. Po niej przychodzi kolej na intensywną indoktrynację osoby młodej, i co tu dużo mówić, niedoświadczonej. W powietrzu fruują na przemian prośby i groźby. Sekretarz ma ogromne zasługi na tym terenie, cieszy się szacunkiem wśród ludzi, wiele szkole pomógł. Tak jest, to prawda, że jego latorośl demoralizuje klasę, ale jeśli dziewczynę nie można usunąć ze szkoły, a przecież nie można, po co ją dłużej trzymać? Niech sobie idzie jak najszybciej. Jest to nader logiczny argument, bardziej nawet przemawiający do wyobraźni niż ten, że przy wystawianiu stopni mniej trzeba się kierować zasadą „każdemu według jego pracy”, a raczej „każdemu według potrzeb szkoły”. Ci, którzy systematycznie czytają produkowane przez szkolną administrację wytyczne, instrukcje i okólniki, przyjmują tę tezę z głębokim zrozumieniem. Wskaźniki promowanych i niepromowanych, limity ocen niedostatecznych... znamy to, znamy. Znamy też przewodniczącego komitetu rodzicielskiego, który załatwił szklanki dla stołówki i dyrektora zakładu patronackiego, fundującego szkole w czynnie społecznym perkusję. Jak tu nie pomóc ich dzieciom, jeśli nie wszystko gra, a nawet troszkę zgrzyta?

A tu rada pedagogiczna w teatrze trwa dalej. Apelowi moralnym, wzbogaconym o akcenty kolektywistyczne („to nie jest, koleżanko, sprawa waszego sumienia, to jest sprawa nas wszystkich”) zaczyna towarzyszyć wprowadzanie nowych procedur (głosowanie nad stopniem ucznia). Ale legalność procedur zostaje zakwestionowana. Niedobrze. Wreszcie jesteśmy w domu: postawienie córce sekretarza dwójki jest w istocie rzeczy uderzeniem w partię, zostanie zinterpretowane jako zamach na autorytet partii w mieście. Młoda nauczycielka broni uporczywie swojego stanowiska. Powiada: czy autorytet partii ma się zachwiać wskutek tego, że nie zostanie popelniona jedna machlojka? Czy jest winą partii, że sekretarz ma córkę idiotkę? Koleżdy — na to jeden z profesorów — czy jest w ogóle możliwe, żeby córka takiego towarzysza była idiotką? Jest to właściwie jedyny wątpliwy głos, ponieważ wszyscy inni nie mają co do tego żadnych złudzeń. Nie uważają natomiast, by był to odpowie-

dni moment do wyciągnięcia z owego faktu odpowiednich wniosków. Czas płynie, oportuniści coraz bardziej się denerwują, iż, nie daj Boże, zdenerwują sekretarza, jeśli dowie się o takim drobiazgu, że córka nie zdała zarządzanego ad hoc komisijnego egzaminu. Kiedy zaś zawodzą wszelkie metody perswazji, stawia się w pełnym rynsztunku służbowym facet z pieczęcią inspektora szkolnego, który wygłasza podręczny referat o tym, iż nasz ustrój wysoko postawił godność nauczyciela, a następnie wyrzuca dziewczynę z pracy.

I oto zjawia się sekretarz, który, można się było tego domyślić, o niczym nie wiedział. Jest bez reszty oddany swojej robocie, zaabsorbowany sprawami miasta i regionu, dom ogląda tylko późnym wieczorem. Czasem dzwonią do niego ze szkoły, sam dyrektor oczywiście. „Towarzyszu sekretarzu, mamy do was taką serdeczną prośbę, żebyście nam pomogli załatwić cement, chcemy rozbudować to i tamto”. „Dobra, powie sekretarz, załatwione, a co tam dyrektorze, z moją małą?” „Z waszą córką, towarzyszu sekretarzu? Ależ wszystko w porządku. W absolutnym porządku”. A w tym czasie mała staje nauczycielom na głowie. Inna z kolei straszy wujem wiceministrem, jeśli nie dadzą jej świętego spokoju. Ilu nauczycieli może coś na ten temat powiedzieć?

„Egzamin” został pokazany między innymi słuchaczom Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC. Dyskusja była ostra, obfitująca w wiele ciekawych spostrzeżeń. Powie niemłody już działacz partyjny: „No, tak rzeczywiście, cały dzień jestem na nogach, nie ma dla mnie nic ważniejszego niż ta robota, a tu człowiek wraca do domu wieczorem i nagle widzi, że mu się dziecko spala”. Inny zauważył: Sekretarz Malawski z „Egzaminu” to równy facet, nie mający nic wspólnego z całym tym towarzysztwem wzajemnej adoracji. Oni po prostu żyją na jego konto, nim się zasłaniają. Ale jednak sekretarz pozwolił się odciąć od źródeł autentycznej informacji.

Prawda. Oni powtarzali swoje „dobra nasza”, a jemu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, co się w rzeczywistości kryje za tymi optymistycznymi pohukiwaniami. A jeżeli dopuścił do takiej sytuacji w niewielkim przecież mieście, co będzie, gdy potem awansuje, a musi awansować, bo jest uczciwy, ambitny, energiczny. Wówczas będzie miał przecież do czynienia z wielokrotnie większą liczbą ludzi. I co wtedy? Więc nawet nie to jest najważniejsze, że nie potrafił wychować córki, że, zakopany po uszy w społecznej robocie, przeoczył własne dziecko. To się zdarza nawet najlepszym. Ale podstawowy błąd tkwi w tym, że nieświadomie pozwolił, by inni, co od „dobra nasza” i „wszystko w porządku, towarzyszu sekretarzu” deformowali prawdę, manipulowali faktami, polerowali rzeczywistość, wygładzali opinie.

Po „Egzaminie”, jak po każdym dyskusyjnym przedstawieniu, a Teatr Ochoty wyłącznie takie prezentuje — ostra dyskusja. Mówią uczniowie, studenci, nauczyciele. Opinie tych ostatnich są w sumie najciekawsze. Bo przecież można się było spodziewać, że ten i ów poczuje się urażony. Nauczyciele, a już osobliwie administracja szkolna, krytyki nie lubią, podważają jej zasadność szczegółowo i generalnie. Ale oto niespodzianka: jak dotąd tylko jeden z sędziwych pedagogów głośno wyraził przekonanie, że tu się szkaluje szkołę i obiecał uczynić gdzie trzeba stosowny donos. Inni robią przymiarki do życia, nie stronią od gorzkiej niekiedy refleksji. Pada na przykład opinia, że w niektórych szkołach do dziś panują feudalne stosunki, że zbyt często premiuje się pedagogiczny oportunist, że bardziej optaca się wykonywanie urzędniczych zadań dydaktycznych niż manifestowanie nauczycielskiego powołania. Albo te czterdziestoosobowe klasy, na które spada cotygodniowa nawała stopni, a wychowawca prędzej czy później w tym wszystkim się gubi, uczeń zaś demoralizuje.

I ta skala problemów, jakże często jeszcze stonująca wykładnik swoistego pomieszania z poplątaniem. Są szkoły, w których do dziś pedagogiczne podniecenie ogniskuje się wokół tak ważnego zagadnienia, jak noszenie przez uczniów kapci. Podczas organizowanej niedawno w redakcji „Prawa i Życia” dyskusji uczniowskiej na temat przysposobienia do życia w rodzinie, chłopcy i dziewczęta opowiadali m.in. o tym, że w jednym z warszawskich techników funkcjonuje jejmość, która dwudziestoletnim ludziom (bo i tacy uczęszczają do ostatnich klas) systematycznie sprawdza czystość chusteczek i skarpetek. W innej z kolei szkole uczniów się na co dzień numerkuje. Polega to, z grubsza biorąc, na tym, że uczeń, który na przykład w czasie lekcji wyraża życzenie udania się do toalety, musi najpierw otrzymać od nauczyciela stosowny numer. Złapanie na korytarzu przez innego pedagoga, a może i woźnego, bez numerka grozi poważnymi konsekwencjami regulaminowymi. Ciekawe też, czy na naradach pedagogicznych w tych szkołach, gdzie dyskutuje się zapewne godzinami o owych niezmiernie istotnych elementach wychowania, starcza jeszcze czasu na refleksję związaną z ocenianiem człowieka w myśl innych kryteriów niż stopień ze śpiewu, wykazanie się na czas numerkiem oraz posiadanie czystych skarpetek.

No, tak, powie ktoś. Ale co to w końcu ma za znaczenie, że dziewczynie czy chłopakowi, których ojciec rzeczywiście tak wiele pomógł innym ludziom, da się na tej maturze trójczynę, nawet jeśli na nią absolutnie nie zasługuje? I tak wyłożą się podczas egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię. Tam rządzą inne prawa; miernota intelektualna i mielizny wiedzy ujawniane są bezlitośnie. Więc prawda i tak wyjdzie na jaw. A jeżeli nie wyjdzie? Bo może znajdzie się pod ręką tym razem kolega z wojny, do którego tylko wystarczy wykrecić numer i powiedzieć: „Stary, wiesz jak jest. Córka zdaje egzamin, miej ją pod swoją opieką”. I znowu się uda. Albo, co gorsza, trafi się okazja, zrodzona zawsze tam, gdzie zaczyna się moralny i prawny mechanizm oczyszczający społeczeństwo ze szwindli i lajdactw. To może zabawne, ale ja dotąd nie mogę zapomnieć procesu, jaki przed kilku laty toczył się przeciwko niektórym pracownikom naukowym Białostockiej Akademii Medycznej. Można było od nich kupić wszystko: stopnie, egzaminy, usmiech zawodowej fortuny. Zapadły w majestacie prawa wyroki, dziennikarze pochowali długopisy, akta powędrowały do archiwum. A ja ciągle boję się, iż pewnego dnia zdarzy się, że poważnie chory, stanę oko w oko z facetem, któremu w tamtych latach ktoś podarował lekarski dyplom.

I to już właściwie wszystko. Niejeden człowiek, który po obejrzeniu „Egzaminu” wyjdzie umocniony w przekonaniu o swojej własnej niezłomności na miejscu młodej nauczycielki, następnego ranka (na osobistą prośbę dyrektora zakładu) przepuści przez sito kontroli jakości partię buble, bo inaczej przedsiębiorstwo nie wykona planu, a premia przedzie załozde koło nosa. Będzie czuł się zresztą w pełni rozgrzeszony, bo przecież nie podciągnął synalkowi ustosunkowanego rodzica stopnia ze sprawowania, a jedynie zamknął jedno oko w chwili, gdy z taśmy schodziła partia pięciuset poobitkiowanych garnków emaliowanych.

Zawsze łatwiej być bezkompromisowym z pozycji kibica niż przymusowego uczestnika zdarzeń. I dlatego szkoda, że jeszcze zbyt często nie uświadamiamy sobie, że — pokonując naturalne ciągoty do oportunisty, nie przystając na kompromis prowadzący donikąd — zdamy swój najważniejszy w życiu egzamin. Egzamin, w konfrontacji z którym dziesiątki zaliczeń i kolokwiów, egzekwowanych od nas w czasie studiów, wydają się ledwie wprawkami akademickimi na parę przeczytanych podręczników, łut szczęścia i umiejętność zrobienia na kimś, kto nas oceniał na stopnie, maksymalnie dobrego wrażenia.